POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 2 SIERPNIA 1930 ROKU NR. 31

ANDRZEJ STRUG

24)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Spojrzał na profesora — wciąż patrzał w okno, był zmieniony, jakby w jednej chwili postarzał o dziesięć lat. Twarz zmalała, skurczyła się w zmarszczkach, oczy zmrużyły się, broda zadrgała i z pod złotych okularów wypłynęły duże łzy. Dwie krople błąkały się po pokreślonych policzkach, szukały sobie ujścia i zwolna spływały ku dołowi. Nie zdziwiło to doktora, przeciwnie, sam poczuł w gardle łzy. Było to wzruszenie nieznane, przemocne a zarazem łaskawie serdeczne, kojące. Czarem swego nakazu odegnało precz wojnę i zabrało duszę, poniosło ją poza wszelką miarę czasu. Zginęły w niepamięci lata okrucieństwa, cała kronika nieszczęść, ruin i krwi, własna męka i cierpienia narodu, przecięte było jak nić nieubłagane trwanie zła. Czyjaś dobra ręka zdjęła przekleństwo losu, ciążące nad pokoleniem, zerwała żałobną zasłonę i odkryła to, co prawdziwe i wieczne — piękno i urok istnienia.

— Tak — tak... No tak... — zagadał profesor, widocznie zmieszany. — Pan daruje, pan zrozumie... W naszych czasach muzyka... Człowiek budzi się jak ze snu i odnajduje siebie... Ludzkość stworzyła jedną jedyną rzecz wyższą ponad własną możność swego pojęcia, ponad siebie samą — to właśnie muzykę. Zresztą to gra moja córka, istota genjalna i nieszczęśliwa. Nikt tak jak ona nie oddaje w Niemczech Bacha. Ale niepodobna uprosić żeby zagrała dla ludzi, bodaj dla starego ojca. Ją trzeba podsłuchać — właśnie dopuściliśmy się tego wraz z panem — ha — ha... Niechże się pan przed nią kiedy nie zdradzi...

Zaczęło się życie spokojne, jakby nawrót do zamordowanej i pogrzebanej przeszłości, zasklepienie się w pracy ulubionej, samotność wśród retort, flaszek i bań z odczynnikami, w cierpkim zapachu chemikalji, w oparach chloru i siarkowodoru, przy znakomicie skonstruowanych najnowszych aparatach niemieckich. Doktór Helm spostrzegł pewnego dnia, że podśpiewuje sobie przy robocie, jak za najlepszych czasów i dopiero się opamiętał — wszak zapomniał ze szczętem o swoich dziejach i kolejach i o tem, co go tutaj przywiodło! Było to niemożliwe, a jednak spędził przy pracy około dwuch tygodni jakby bez wiedzy o sobie i bez myśli. To było urocze i jakieś fantastyczne. Nowy byt wydawał mu się snem, z którego nie chciało mu się budzić. Któż będzie nad nim czuwać, gdy nie działa w mózgu pełnia świadomości czasu i miejsca i rzeczywistości świata i samego siebie? Wszystko dokoła wydawało mu się czemś nieprawdopodobnie zwyczajnem i jak gdyby od dawien dawna znajomem.

Samo miasto, stary, starodawny Mannheim i most na Renie, prowadzący na drugą stronę do Ludwigshafen i pewne ulice, naprzykład plac przed ratuszem, były to miejsca, w których wyczuwał mętnie, a chwilami jak gdyby poznawał jakąś pradawność. Widać ktoś mu kiedyś opowiadał o przepięknej pięćsetletniej lipie, stojącej na skrzyżowaniu czterech ulic, o tym paskudnym oficjalnym pomniku zwycięstwa... Z za każdego węgła wychylało się i umykało swawolnie żywe wspomnienie, urok dzieciństwa. Otrząsał się z tego, niepokoił się przez chwilę i znów poddawał się złudzeniu, zasypiał i budził się. Było to zabawne.

Pewnej nocy ocknął się i porywczo usiadł na łóżku. W ciemnościach dookoła niego była próżnia, rzec można, bez żadnej rzeczywistości. Raczej przeczuwał niż pamiętał, że tuż pod ręką ma kontakt ale uląkł się światła. Zanim coś ujrzy oczami, musi to odtworzyć w sobie samym. Albowiem od niego zależy to, co zobaczy, jako prawdę. Jeśli zechce, może to zupełnie odmienić. Ale nie wiedział, czego ma chcieć — zgubił się w tej ciemności. Strzępy myśli, obrazów, twarzy, miejsc, czasów przelatywały mu przez głowę. Zamęt walki, trzask i huk w głowie... Maska dolega, pali, dusi... Zimna noc w błocie, strach i ciemności pełne jęków... Słowa, napuszone słowa, bohaterskie słowa zbrodnicze we wszystkich językach świata — to komunikaty w gazetach... Czwarty rok wojny?... To niemożliwość, to fałsz... S. Francisko, Chicago, New York, Atlantyk, Paryż?... Znowu kłamstwo!... Zadymiona knajpa — Hirchauers - Diehle, w ostatnim pokoju koledzy z „Badische" i prawdziwe pełnoprocentowe piwo przedwojenne. Kolega Bieder, (Żelazny Krzyż), opowiada o szturmach na Doaummont. Wołania — dosyć tego! Zaśpiewajmy!...

— Niema żadnej wojny,
Nie było i nie będzie,
To nasze jest orędzie —
Niech żyje świat w spokoju!
Etylen, Etylen ojciec rodu
Błogosławi młodą parę
Niech ślubują sobie wiarę
Dla wybawienia narodów.
Zaślubia Thioglikol
Cnotliwą Chlorohydrynę...

... Kolumna jeńców francuskich maszeruje ulicą pod strażą jakichś starych, człapiących pseudo - żołnierzy. Zebranie towarzyskie w ogromnym salonie, gdzie ginie garstka kilkunastu panów i kilku pań. Rudowłosa Rita rozlewa herbatę... Ach, ona! Tylko ona! Nareszcie coś rzeczywistego — ale kiedy to było? Gdzie? W gorączce szpitala? W zapomnianej powie-

ści? Duszący wyziew chloru... Odór starych trupów... Żadną miarą nie może odczytać słów telegrafu świetlnego, który łyska i łyska w pomroce... Co? Co? Nic nie rozumie...

Maca gorączkowo po ścianie, długo szuka i wreszcie przekręca kontakt. Widzi swoje odbicie w lustrzanej szafie i długo patrzy w zdumieniu — nie poznaje. Na szafie wazon ze sztucznemi kwiatami, na komodzie gipsowe popiersie Hindenburga, na ścianie Cesarz i Cesarzowa. Aha... Więc to tak...

Dzień biegł za dniem. Doktór Helm pracował ponad przepisowe godziny i nawet po nocach, aż asystent Mücke ostrzegł go po przyjacielsku, żeby nie narażał się kolegom, którzy wszyscy pracują uczciwie, ale trzymają się godzin, jak tego wymaga higjena pracy i jej istotna wydajność. Doktór Helm natychmiast przystosował się do zwyczajów „Wagershölle", jak w Zakładach „Badische" i w całym Ludwigshafen przezywano ich tajemniczy, odosobniony pawilon. Z kolegami chciał się zżyć po przyjacielsku. Polubił zwłaszcza młodszego asystenta, Hansa Schramma, świeżo dyplomowanego chłopca, który był głośnym z tego, że przez omyłkę i ślepy traf, sam o tem nie wiedząc, przy sprawdzaniu spoistości składników, wytwarzających nowy wojenny gaz gryzący, odkrył nieznany barwnik o nadzwyczajnych zaletach i otrzymał nań patent, który stanowił spory majątek. Wszyscy koledzy przeszli pewien czas służby frontowej, jeden jedyny Hans uchował się jakoś i odrazu po dyplomie, jako wyjątkowo zdolny, przydzielony został do instytutu badań profesora Wagera, zresztą przy poparciu wysokich sfer berlińskich. Koledzy, którzy proch potrosze już wąchali, podrwiwali z młodzieńca i od czasu do czasu, dość nierzadko, napomykali w jego obecności, że do „Badische" zjeżdża niebawem lotna komisja wojskowa, która przeprowadzi na miejscu surową kontrolę personelu technicznego i wyzbiera dekowników co do jednego. Nie wiedzieli chemicy z Wagershölle na jak srogie męczarnie wstydu skazywali młodego badacza i na jeszcze cięższe męczarnie strachu przed frontem. Doktór Helm był zdumiony wybuchem młodego kolegi, który pewnego dnia wpadł do niego z płaczem i wyznał swoją straszną tajemnicę. Był nikczemny, był wstrętny, żadną miarą nie mógł się przełamać... On wie, gdzie jest jego obowiązek... Jeden brat poległ, drugi jest inwalidą, dwaj stryjowie, ludzie starsi, od początku wojny są w polu, wuj na morzu, wszyscy koledzy rówieśnicy walczą, ilu już zginęło... A on nie może... I jeżeli komisja go wyznaczy, odbierze sobie życie w koszarach albo najpóźniej w drodze na front. Nie lęka się śmierci, wszak sam ją sobie gotów zadać... To zgroza, która obezwładnia wolę, straszliwa, niepokonana odraza do wojny... Im dłużej trwa obłęd świata, tem mniej rozumie on to, co się dzieje. Jak to być może? Wszyscy przystosowali się do wszelkich niemożliwości, nikt się niczemu nie dziwi, a on tak samo jak w pierwszych dniach wojny budzi się codzień w zdumieniu. Z nikim nie mówi o tem, bo któż go zrozumie? Nawet koledzy go wyśmiewają i straszą frontem. Jest wyrodkiem, nędzarzem, niegodnym Niemcem, ale w głębi duszy przyznaje sobie słuszność. W nim jednym ocalał instynkt jakiejś wiekuistej ludzkiej prawdy, którą wytępiono w całym narodzie. I cóż z tego? Jest i będzie nieszczęśliwy. Tylko bardzo mocny człowiek może znieść pogardę świata i pozostać samotny ze swoją prawdą.

Zaprzyjaźnili się. Hans uważał za zbrodnię prace badawcze Wagershölle i co do siebie przynajmniej ręczył, że nigdy nie odkryje nowej trucizny, a gdyby to się zdarzyło przypadkiem, to poprostu utai całą rzecz i już. Z rozkoszą patrzałby na pożar wielkiego miasta gmachów „Badische", na potworne eksplozje, na strumienie „Żółtego Krzyża" spływające kaskadami do Renu. Gotów był na wszystko, nawet na zdradę, byleby skrócić wojnę. Poza swemi tajemnicami Hans był dobrym, miłym chłopcem.

On to najskuteczniej wprowadzał zamerykanizowanego Niemca w atmosferę kraju ojczystego. Zaprosił go do swego domu, zapoznał go z rodzicami, z siostrami. Doktór Helm przyjęty był najserdeczniej. Ogarnęło go ciepło domowe, staroniemiecka poczciwość i prostota. W zamożnym domu przyjmowano go przemarzniętemi słodkawemi kartoflami w mundurach, śledziem oraz wojenną lurą z sacharynką i placuszkami na sztucznym łoju, tym zapewne, który, jak pisano w zagranicznych gazetach, wytapiano z padliny końskiej i z trupów żołnierskich swoich i obcych. Nikczemność stołu okraszała atmosfera kultury, dobra muzyka — Elsa i Inna przy fortepianie. Obie miały narzeczonych na froncie i żyły tęsknotą i niepokojem, co otaczało je osobliwym urokiem. Były podobne do siebie jak bliźnięta, ciche i skupione, jak gdyby naprzód już zrezygnowane na przyjęcie złej wieści. Ruch i życie wprowadzała dopiero najstarsza siostra, która wpadała często w wieczornych godzinach i odrazu odmieniała wszystko w tym domu. Mąż jej był gdzieś na froncie ale od dwuch lat rozstali się i odtąd nie zaglądał już do Mannheimu i wszelki ślad po nim zaginął. Pani Greta von Senden mieszkała właściwie w niedalekim Heidelbergu, ale życie spędzała w bezcelowych podróżach, miotając się po całych Niemczech. Nazywano ją warjatką, krążyły o niej skandaliczne plotki, z których nic sobie nie robiła i wyzywała opinję rodzinnego miasta zarówno niebywale krótkiem ostrzyżeniem po męsku, jak bezczelnie krótkiemi sukniami. Ukazywała się w miejscach publicznych otoczona bandą oficerów, zdziczałych na froncie i niemożliwie rozpasanych, którzy w ciągu tygodnia urlopu musieli sobie powetować wszystkie udręczenia wojenne i jeszcze ponadto na zapas. Gdy przychodziła do domu rodziców, dyrektor Schramm zamykał się w swoim gabinecie, siostry siedziały cicho, a pani dyrektorowa przedstawiając córce pana Helma szepnęła mu: — To też ofiara wojny, w istocie jest niewinna i bardzo nieszczęśliwa. Proszę dla niej o wyrozumiałość i życzliwość. Pani Greta promieniała urodą i humorem i doktór Helm nie potrzebował zachęty, ażeby zainteresować się nią i to odrazu. Posępny, poczciwy dom Schrammów rozjaśnił się i zadźwięczał srebrzystym śmiechem. Była ona tu zjawiskiem egzotycznem, nie nadającem się ani do starych ciężkich mebli, ani do powagi i bogobojności całej rodziny. Wygadywała niesłychane herezje, wyśmiewała rodzonego ojca, który pozwalał sobie nie uznawać wyrodnej córki, drwiła z wojny, opowiadała zgoła męskie anegdoty. Była urocza. Zaraz na wstępie zaczęła przedrzeźniać amerykański akcent doktora Helma i zabrała się do niego z impetem. Czcigodna pani Schramm, matka rodu, zatykała sobie uszy, gromiła córkę bez przestanku i zaśmiewała się do łez. Elsa i Inna milczały ze spuszczonemi oczami i ożywiały się dopiero, gdy Greta zaczynała rozwiązywać swoją paczkę. Za każdym razem przynosiła takie specjały, o jakich już oddawna zapomniano w tym domu w Mannheimie i bodaj w całych Niemczech. Znosiła kiełbaski, białe bułeczki, szynkę, kurczęta pieczone, ciastka z kremem, prawdziwą kawę, prawdziwe masło, prawdziwy cukier.

(D. c. n.).

MAYERLING

13)

— Spokój niezmącony... Lecz to jest ostatnie rozwiązanie. Zanim się na nie zdecyduje, należy wypróbować wszelkie inne drogi.

Następnie, ujrzał w myślach Jana Salvatora i tę uroczą Milli Stubel — nareszcie para szczęśliwych ludzi! W tym oto momencie, nowa myśl zaświtała mu w głowie i oczarowała go. Nagle powziął zamiar. Bez wahania, podszedł wprost do biurka, napisał krótki list, zaadresował go i zawołał Loschka.

— Postarasz się wysłać ten list, jutro zrana przed dziewiątą, ale nie przez nikogo z służby, lecz przez posłańca.

Loschek wziął list, pochylił się i opuścił pokój.

Arcyksiąże położył się.

— Czy dojdzie do rąk własnych? Popełniłem szaleństwo. Powinienem był zaczekać...

Lecz czuł niewyraźnie, że nie może czekać i że nieobliczony gest, który skłonił go do napisania tego listu, należał do tych właśnie, narzucających się intuicyjnie i nie dających się odeprzeć.

Marja Vetsera spędziła kilka przykrych godzin, po ostatnim spacerze w Praterze. Oczywiście, widziała następcę tronu — lecz w jakich warunkach! Żywo zainteresowany kobietą, dla której nie obawiał się skompromitować publicznie! I raz jeszcze ta śliczna Marja Vetsera, budząca w całym Wiedniu podziw i zachwyt, odczuła swoją nicość. Z wrodzoną skromnością, będącą jedną z cech dodatnich i tak ujmujących, skłonna była obniżać swoją wartość i podnosić pod niebiosa zalety swojej „rywalki". Stawała się ona w oczach Marji pięknością bez skazy (czyż nie była wyróżnioną przez arcyksięcia?).

Rozumie się, samo przez się, że spotkanie z Marynką zostało wszystkim opowiedziane. Daremnie błagała swoją siostrę, ażeby nie rozgłaszała tego. Lecz czy Hanna mogła pozbawić się przyjemności opowiedzenia tak pikantnej historyjki bywalcom salonu baronowej Vetsery? Wywołało to tysiące komentarzy. I tą drogą dowiedziała się wreszcie Marja, że Rudolf był zakochany do szaleństwa w pięknej cygance, że widywał ją bezustannie (a nawet w Praterze)! I cóż dodawano jeszcze? Iż rzeczy posunęły się tak daleko, że żona następcy tronu, zamierzała porzucić zmiennego i lekkomyślnego małżonka, by wrócić do Belgji. Nowina ta sama w sobie, nie byłaby niemiłą Marji. Czemu jednak przyczyna tego zerwania sprawiała jej taki ból? Twierdzono też — było to prawdą? — że sam cesarz wmieszał się w tę sprawę.

Taka była atmosfera komentarzy, którą oddychała Marja. Truła ją poprostu. Hrabina Larisch bawiła wciąż na wsi, zdala od Wiednia. Gdzie szukać oparcia, lub pocieszenia? Marja potrafiła płakać tylko, przy swojej piastunce bezradnej i wylękłej.

Pewnego ranka — w poniedziałek dwudziestego dziewiątego października — Marja leżała jeszcze w łóżku, gdy stara niania przyniosła jej pierwsze śniadanie. Od kilku dni, Marja czuła się osłabiona i wstawała trochę później.

Piastunka pokazała jej kopertę na tacy i rzekła:

— Oto list dla ciebie, Marjo; byłam sama w sieni, gdy przyszedł posłaniec. Oddał mi ten list.

Marja spojrzała na list ze zdziwieniem. Jej korespondencja, i wszelkie inne listy, przechodziły przez ręce matki. Na kopercie z pięknego grubego papieru widniał adres: „Marja, baronówna Vetsera". Pochodziła z Wiednia. Kto taki posyłał jej list przez posłańca? Nigdy, dotychczas, nie zdarzyło się, coś podobnego!

Marja rozerwała kopertę i rozłożyła list. Na samej górze kartki widniał napis *Hofburg*, a pod nim znajdował się herb cesarski! Marja nie dowierzała swoim oczom.

List brzmiał:

„Droga Panno Vetsera!

„Zechce mi Pani zrobić przyjemność i uda się pani ze mną jutro we wtorek na przechadzkę po Praterze?

„Spotkamy się tam, gdzie miałem szczęście ujrzeć Panią przed kilku dniami. Będę Panią oczekiwał o czwartej i pójdziemy się przejść w ustronne ścieżki parku.

„Być może prośba ta, wyda się Pani dziwna. Niech Pani nie widzi w niej nic prócz gorącego pragnienia, poznania Pani wreszcie, przez człowieka, który dawno już podziwia Panią z oddali.

Rudolf"

Marja była zmuszona przeczytać dwukrotnie ten list ażeby zrozumieć jego treść, tak jasną. Następnie, szybkim ruchem, schowała go pod poduszkę. Matka lub siostra, mogły wejść do pokoju. Co powiedziałyby? Marja starała się myśleć, z głową opartą o poduszkę, tak blisko więc — pisma ukochanego. Otworzyła szeroko oczy. W głowie panował zamęt. Daremnie, usiłowała opanować swoje wzburzenie. Powtarzała bezustannie:

— Napisał do mnie, napisał do mnie!... Następca tronu przysłał list baronównie Marji Vetsera!... Rudolf napisał do Marji. ... A więc nie zapomniał mnie! Myśli o mnie, pragnie widzieć mnie!... Naznacza mi spotkanie! chce ze mną spacerować, mówić mi miłe słowa... Nie zapomniał!... Umrę ze szczęścia!... Sami we dwoje w Praterze!... Po czwartej zaczyna zapadać mrok... Kocha mnie istotnie? Jestem tylko rozrywką dla niego... I niema w tem nic dziwnego. Wszystko jedno! Kocham go, ujrzę go, będę rozmawiała z nim, dotknę go...

Następnie Marja uspokoiła się nieco:

— Że ten list otrzymałam do rąk własnych, jest prawdziwym cudem! — myślała. — Wszystkie moje listy, przechodzą przez ręce mamy, a ten właśnie... Bóg czuwa nad nami.

Gdy tak oddawała się marzeniom, do pokoju weszła niania by zabrać tacę ze śniadaniem.

— Ależ, moje dziecko, nie wzięłaś nic do ust?

Marja spojrzała na starą powiernicę.

— Pora właśnie myśleć o śniadaniu! Muszę wstać natychmiast, nie wytrzymam dłużej w łóżku.

Od pół roku niańka nie widziała tak rozpromienionej Marji; serce starej piastunki zabiło radośnie.

— Widzę, że otrzymałaś dobrą wiadomość — rzekła, zabierając tacę.

Marja przysunęła się do swojej poczciwej niani i szepnęła jej do ucha:

— *On* napisał do mnie!

Staruszka, omal że nie upuściła tacy na łóżko. Przytrzymując ją drżącemi palcami zawołała:

— Boże! Pisujecie teraz do siebie.

I pokiwała głową.

Już Marja biegała po pokoju.

Dopiero znacznie później opanowała się. Zaskoczył ją drobny fakt, z którem się nie liczyła uprzednio.

— Ależ nie mogę pójść do Prateru. Nigdy, dotychczas, nie wychodziłam sama...

Pobladła twarzyczka Marji i nabrała bolesnego wyrazu. Nie do zrobienia! W żaden sposób nie mogła sama opuścić domu, bodaj na godzinę. Więc go nie zobaczy, nie będzie z nim rozmawiała, nie będzie się z nim przechadzała, trzymając go pod ramię! Jedna tylko osoba mogła jej przyjść z pomocą w tej trudnej sytuacji, a mianowicie hrabina Larisch; droga, kochana przyjaciółka! Z nią wszystko poszłoby gładko! Pani Vetsera powierzyłaby jej córkę, bez żadnych trudności. Pojechałyby razem do Prateru, a wtedy... wtedy... Marzyła. Hrabina bawiła na wsi. I w ten sposób Marja przechodziła w ciągu kilku minut od bezgranicznego szczęścia, do niezmierzonej rozpaczy.

Po tem podnieceniu, jęły przebijać w końcu myśli rozsądne i praktyczne. Należało napisać do arcyksięcia ażeby nazajutrz, nie oczekiwał jej daremnie. Należało również, nie tracąc ani chwili, napisać do hrabiny Larisch Wallersee i błagać ją, by wróciła niezwłocznie do Wiednia. Obecność kuzynki następcy tronu obiecywała Marji tyle szczęścia.

Pewność, iż ujrzy niebawem Rudolfa, pomogła znieść jej okropne rozczarowanie, że nie spotka go nazajutrz.

Usiadła przy biurku i bez wahania, skreśliła następujący list:

„Wasza Wysokość!

„Jakże szczęśliwa byłabym gdybym mogła ujrzeć jutro Waszą Wysokość, w Praterze!

„Muszę niestety, zrezygnować z tej wielkiej radości, gdyż nie mogę wychodzić sama. Sprawia mi to wielką przykrość...

„Gdyby tu była hrabina Larisch! Napewno nie odmówiłaby mi i towarzyszyła do Prateru. Piszę do niej, z prośbą, by wróciła do Wiednia.

„Proszę mi wierzyć, że jestem szczerze zrozpaczona temi przeciwnościami losu.

Nie wiedziała, jak zakończyć list, więc podpisała poprostu: „Marja".

Po przeczytaniu, orzekła, że list brzmi zimno i niezręcznie; lecz im więcej myślała, tem trudniejszem wydawało się napisanie listu, któryby ją zadowolił. Wkońcu wsunęła list do koperty. Z olbrzymią satysfakcją zaadresowała list do następcy tronu w Hofburgu (Arcyksiąże pisząc do niej, podał jej w post-scriptum adres specjalny, ażeby list doszedł do rąk własnych).

List do hrabiny Larisch był znacznie dłuższy. Treścią tego listu był okrzyk radości, powtórzony na czterech stronach z pewnemi warjantami, przerywany gorącemi prośbami, by wróciła niezwłocznie do Wiednia.

Skończywszy pisanie, Marja pomyślała, że ten list nie dosięgnie hrabiny, będącej w Pardubitz, wcześniej niż nazajutrz, więc postanowiła zadepeszować.

Stara niania została wydelegowana na pocztę.

VI

TRZECIEGO LISTOPADA ROKU 1888-ego.

Hrabina Larisch Wallersee wróciła do Wiednia, w czterdzieści osiem godzin po otrzymaniu listu od swojej małej przyjaciółki. Nazajutrz odebrała list, nie mniej naglący, od swojego kuzyna, następcy tronu. Zależało jej na tem, by zobowiązać arcyksięcia, przeto postanowiła wrócić natychmiast. Zawitała do stolicy w dzień Wszystkich Świętych. Zajechała, jak zwykle, do Grand Hotelu.

Czekały ją dwa listy: słówko od Rudolfa, który musiał udać się na jeden dzień, na polowanie, i prosił by odwiedziła go nazajutrz w południe; oraz liścik od Marji. Hrabina Larisch uśmiechnęła się. Baronówna Vetsera miała nadzieję, że po mszy będzie sama w domu i prosiła przyjaciółkę, by przyszła przed dwunastą.

Nie zwlekając, udała się do Marji.

Młoda dziewczyna nie mogła usiedzieć na miejscu. Pewność, że ujrzy wreszcie człowieka, który wypełniał jej duszę od pół roku, nie opuszczała jej na chwilę. Nie zastanawiała się, czem będzie ich rozmowa. Ujrzy go, usłyszy brzmienie jego głosu, dotknie jego rękę. Cóż wyobrazić sobie ponad to szczęście bez granic? Rzuciła się na szyję hrabinie Larisch, zasypała ją potokiem słów, nie dając jej dojść do słowa! A co powiedzieć o radości Marji, gdy dowiedziała się, że Rudolf pisał też do swojej kuzynki i naznaczył jej spotkanie na dzień następny?

— Czy będę mogła towarzyszyć pani? — zaryzykowała Marja.

Hrabina Larisch roześmiała się.

— Nie mówisz chyba poważnie droga Marjo. Ty w Hofburgu! To zbyt niebezpieczne. Być może, ustronna aleja w Praterze. I to jeszcze!...

Gdy pożegnała Marję, było postanowione, że postara się umówić na dwunastą, gdyż o tej porze pani Vetsera powierzy jej łatwiej swoją córkę.

Nazajutrz hrabina Larisch Wallersee, widziała swojego kuzyna, tylko krótką chwilę. Podziękował jej, że zadała sobie tyle trudu, by przysłużyć mu się. Mówił tonem ironicznym, którym posługiwał się zwykle, w rozmowie z nią.

— Wieś nie służy ci i nie sprawia żadnej przyjemności, twoim żywiołem jest miasto. Przyznaj, że ściągając cię do Wiednia, oddałem ci prawdziwą przysługę. Mnie, wręcz przeciwnie, miasto szkodzi. Lecz jestem zmuszony przebywać w niem... Jakie to męczące.

Przeciągnął się, zapalił papierosa i mówił:

— Pragnąłbym zawrzeć znajomość z twoją małą przyjaciółką. Spotkałem ją, kilka dni temu, w Praterze. Wydała mi się bardzo ładną i młodziutką. Rzadki ptak, doprawdy... Chciałbym przyjrzeć się jej, ale z bliska. Warta tego... Przyprowadzisz mi ją tu, Marjo.

Hrabina roześmiała się.

— Mam ją tu przyprowadzić! Tę młodą pannę! Nie mówisz, chyba poważnie, mój drogi kuzynie. Zbyt wielkie ryzyko, może być widzianą...

Rudolf zauważył, że mówiła o narażeniu, na to tylko, że może być widzianą. Zatem sprawa była wygrana i, należało tylko uspokoić hrabinę Larisch.

— Wolałabyś, ażebym spotkał ją w twoich apartamentach Grand Hotelu? Lepiej już wybrać jakiś ruchliwy plac w samo południe Hofburg, jeżeli postępuje się umiejętnie jest najpewniejszem miejscem w całym Wiedniu. Nie spotkacie tam nikogo, prócz mnie. Przyjdźcie obie, jutro przed południem. Nic prostszego. Bratfisch będzie czekał na was, w uliczce za Grand Hotelem. Przed dwunastą, dobrze? Odwiezie was przed bramę przy Josephs Platz, przejdziecie pod sklepieniem. O dwa kroki znajduje się mała, żelazna furtka. Będzie odemknięta. Pchniecie ją i Loschek, czekający, w tem właśnie miejscu, zaprowadzi was tu, pewną drogą.

(D. c. n.).